№ 38. Wilno, dnia 13 Grudnia 1925 r. Rok I.



TYGODNIK DLA DZIECI I MŁODZIEŻY.

W. Dalewska.

W roku Bolesława Chrobrego.

Zerwał się do lotu, miecz ujął w prawicę
I powiódł rycerzy na boje.
W krainy nadłabskie, w słowiańskie ziemice
I Niemcom zakrzyknął: to moje!

Potem szedł na północ, kędy Bałtyk siny
Brzeg jasny falami obmywa.
Zrozumiał, że rozwój i potęga państwa
W dostępie do morza spoczywa.

Nie obca mu Praga i Brama Kijowa,
Spokoić tam idzie, ład wnosi.
Z „szczerbcem" w dom wracając, Ruś Halicką bierze.
O czynach walecznych pieśń głosi.

A cesarz ciekawy, jak w Polsce się dzieje,
W pielgrzymkę się świętą udaje.
Poznawszy moc państwa i rozum Chrobrego,
Brata w nim i druha uznaje.

A kiedy mu później Niemcy kraj napadli,
Pobijał i nękał ich srodze.
Spoczynku nie dawał, tępił zasiekami
I w bagna ich wpędzał po drodze.

Aż wreszcie zgnębieni o pokój prosili,
Potęgę w nim orlą uznali.
I odtąd się tylko u granic czaili
I chwili sposobnej czekali.

Sławny Budowniczy, co w dziejów zaraniu
Czuł dobrze, czem morze dla państwa.
Co kraj swój i kościół trudem i rozumem
Z szwabskiego uwolnił poddaństwa.

Chcąc chwały dodać polskiemu imieniu
Koroną królewską skroń zdobi.
Wznosi przez to Polskę do rzędu mocarstwa,
Miejsce jej wśród „wielkich" sposobi.

Więc słusznie go Chrobrym i Wielkim zowiemy,
A postać nam jego wciąż żywa.
I pamięci jego hołd szczery niesiemy,
Choć lat już dziewięćset od zgonu upływa.



Mel Czar.

Dzielna dziewczynka.

— Do szkoły, do szkoły! wołały dzieci wybiegając ze swoich domostw i dążąc w jednym kierunku, brzegiem toru kolejowego. A chociaż poranek był mglisty i szary, wesoła gromadka radośnie gwarząc posuwała się naprzód.

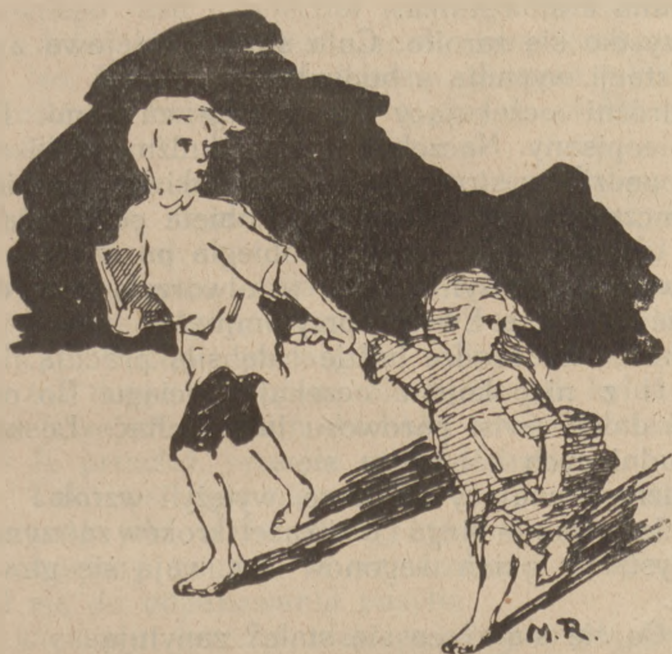
Dom szkolny znajdował się o pół kilometra od wioski, trzeba było zejść z linji kolejowej i skierować się na prawo. Dzieci nie zatrzymując się zbiegły z nasypu i maszero-

wały dalej. W pośród nich brakowało jednej uczennicy, ale one nie zauważyły nawet nieobecności dziewczynki.

Tymczasem Ewcia nie mogła nadążyć za dziećmi.

Ubierała się śpiesznie i gdyby nie ten trzewik....

Utrapienie z tem sznurowadłem, urwało się jak na złość, kiedy trzeba iść do szkoły.



Związała raz, — rozsunęło się, drugi — znowu to samo, dopiero za trzecim razem doszła z niem do porządku.

Szybko włożyła paltko, chusteczkę na głowę i wybiegła. Spojrzała na oddalającą się gromadkę.

— Nie zdążę z nimi, — pomyślała.

Szła więc sama obok toru kolejowego i już miała zboczyć na zwykłą drożynę. Rzuciła okiem po szynach i zdziwiła się. Szyny skończyły się, duża część ich leży bezładnie po obu stronach nasypu... Zrozumiała natychmiast co się święci i puściła się pędem naprzód.

Przed nią widniały budynki stacji, — a zwykle o tej godzinie nadchodził pociąg...

Biegła więc dalej torem co tchu jej starczyło, — woreczek z książkami już ciężyć zaczynał, nie namyślając się rzuciła go w rów przydrożny i biegła, biegła wciąż....

Oto już blisko, — jeszcze kilkadziesiąt kroków...

Dopadła wreszcie stacji, stanęła we drzwiach i głosem zduszonym zawołała:

— Ratujcie! tam niema szyn... i osunęła się na ziemię, wyczerpana z sił ostatka.

Wszystko się zaroiło. Cała służba kolejowa z naczelnikiem stacji wypadła z budynku.

Podróżni oczekujący na pociąg za nimi. Powstał zgiełk nieopisany. Naczelnik z kilku ludźmi siedli na drezynę, popędzili w stronę, z której oczekiwano pociągu...

Tymczasem jakaś litościwa kobieta podniosła leżącą Ewcię, ułożyła ją na ławce, pobiegła po wodę, — sprysnęła twarz dziewczynki i gdy ta otworzyła oczy dała jej się napić. Wkrótce Ewcia oprzytomniała.

A tam, — na drodze ludzie całą siłą pracują. Ustawili sygnały i z niepokojem oczekują pociągu. Bo oto drży ziemia i daleki świst parowozu już słychać. Łoskot miarowo dudniących kół zbliża się...

Ludzie, pracujący na torze, wytężyli wzrok...

Pociąg zwalnia biegu i o kilkaset kroków zatrzymuje się. Ze wszystkich okien wagonów wysuwają się głowy podróżnych.

— Co się stało? co się stało? zapytują.

Konduktor uspokaja strwożonych, niektórzy wychodzą z wagonów, by się naocznie przekonać o katastrofie.

— Nic się nie stało, — rozebrane szyny, ale za godzinę pojedziemy dalej, — odpowiada.

I rzeczywiście po dwugodzinnym postoju, pociąg wtoczył się na stację.

Z podróżnych niektórzy wysiedli, żeby się dowiedzieć szczegółów wypadku, bo już opowiadano o jakiejś dziewczynce.

Do Ewci zbliżył się starszy człowiek, ucałował dziewczynkę, wyjął z kieszeni notatnik, zapytał o imię i nazwisko, zapisał je sobie i powiedział do otoczenia:

— Ona to spełniła piękny czyn, uratowała niejednego z nas od kalectwa a może i śmierci, — poczem znów ją

serdecznie uścisnął i wkrótce wraz z innymi wsiadł do wagonu.

Pociąg odszedł...

* * *

Ewcia tego dnia do szkoły już nie poszła. Odwieziono ją do matki. Trzy tygodnie leżała w łóżku, doktor kolejowy odwiedzał ją i leczył.

Pewnego razu przyjechał wczesnym rankiem i stanąwszy we drzwiach, a uśmiechając się dobrotliwie powiedział:

— No, Ewciu, nie wiedziałem, że masz takie szerokie znajomości po świecie, — jest tu list do ciebie i posyłka z Warszawy...

Dziewczynka zdziwiona patrzyła na doktora, a wtedy on się zbliżył, usiadł na stołku przy łóżku, list wyjął z koperty i czytał:

— Dobra Ewciu i miła nam dziecino, o twoim uczynku nie zapomnimy nigdy, a na dowód naszej o tobie pamięci posyłam ci trochę drobiazgów... Żyj szczęśliwie i bądź zawsze tak dobrą i uczynną dla ludzi, jak byłaś dla nas.

Ewcia ze zdumieniem słuchała, wreszcie odezwała się:

— Ja przecież, przecież nie dla zapłaty...

— Tak, tyś tego nie czyniła dla zapłaty, ale ludzka wdzięczność jest także cnotą, którą uszanować należy... więc zobaczmy co też to za drobiazgi w tem pudle, — i wziął się do odpakowania posyłki.

Z większem jeszcze zdziwieniem patrzyła na wyjmowane rzeczy. O, bo cóż to za śliczności tam były...

Najprzód duża lalka z prawdziwemi włosami i mrugającemi oczkami, potem trzewiczki cudowne, dalej sukienka różowa z szarfą, potem pudełko olbrzymie cukierków, a na ostatku, na dnie pudła kilkanaście prześlicznych z kolorowemi obrazkami książeczek.

Ewcia oczom własnym nie wierzyła, zwróciła się do matki:

— Mamo, to chyba nie dla mnie...

— Dla ciebie, córeczko, skoro tak napisano...

— A teraz, Ewciu, powiedział doktór, wstań z łóżeczka ubierz się, a za tydzień będziesz mogła pójść do szkoły, ucałował dziewczynkę, pożegnał matkę i odjechał.

Ewcia wyzdrowiała.

Helena Świeżyńska.

Historja Sycylijskiego osiołka.

(Ciąg dalszy).

Już statek się nie kołysze, tylko posuwa wolno i ostrożnie długim kanałem, przecinającym płytką zatokę. Z obu jego stron woda błękitna i spokojna, a nad nią różowieją ogromne stada czerwonaków, gdzieniegdzie stoją poważne czaple, kręcą się małe czarne kaczki i masa mew unosi się w powietrzu. — Ale naszego osiołka nic to nie obchodzi. Już nawet cieszyć się nie umie tem, że go wyprowadzono na ląd, w głowie mu się kręci tak, że się na równej drodze zatacza jak pijany i zdaje mu się, że się ta dziwna, nieznana ziemia jak morze kołysze. —

— A, cóż ty się z osłami wozisz? Czy myślisz, że ich u nas brakuje — woła wesoło brat handlarza, kolejarz w błękitnym mundurze. Mamy ich tu dosyć i to nie takie chmyzy! —

—Poczekaj—bierze go w obronę właściciel,—niechno oprzytomnieje po morskiej chorobie, to przypomnisz sobie co to znaczy sycylijski osioł. —

Nie zawsze jednak, a raczej nie często szukanie szczęścia w obcych krajach się udaje.— Nie udało się to i owemu kupcowi kolonjalnemu z Palermo. Handel szedł kulawo, a co najgorsze żona i dzieci nie mogły przyzwyczaić się do zmiany klimatu —W zimie był on raczej zdrowszy niż na Sycylji, bo suchszy, a chłodny, gdyż więcej na wiatry wystawiony, ale w lecie upały były nie do wytrzymania. — Wprawdzie i na Sycylji jest gorąco, ale Palermo od południa górami zasłonięte chłodzi zawsze łagodny północny powiew od morza, a przytem częste deszcze i burze odświeżają powietrze. — A tutaj susza i śpiekota, a niechno jeszcze wiatr od pustyni „Sirrocco“ zacznie wiać, gorący jakby wprost z pieca buchał, to siódme poty na ciebie biją i wprost znieść tego waru nie możesz. — Żona tedy handlarza, która z północnych Włoch pochodziła, nie mogła znieść tych upałów.— Tęsknili przytem za górami swemi, za pięknem miastem

wśród ogrodów tonącem, za znajomymi i swoimi ludźmi tak innymi od tych, którzy ich otaczali, i po kilkumiesięcznej próbie odjechali do Palermo; ale osiołka już z sobą nie zabrali, tylko sprzedali go jakiemuś Arabowi, co niedaleko miasta Tunisu w białej osadzie Sidi-bu-Said mieszkał. —

Zaczęło się tam dla naszego osiołka życie nowe i całkiem inne, jak inne było Sidi-bu-Said od jego rodzinnego miasta. Była to niewielka mieścina nie mająca ani wspaniałych gmachów, ani pysznych świątyń Palerma, ale domy jej, choć proste i jeden do drugiego podobne, były tak czyste i białe, że aż raziły oczy — czego o włoskich miastach nie można powiedzieć! — Białość tych ścian ślicznie odbija na tle zawsze pogodnego, szafirowego nieba — i rozsrebrzonej zatoki. — Okna domów zieloną, gęstą kratą osłonięte nie pozwalały dojrzeć, co się w ich głębi znajduje. Ulice czyste stały ciche, bo kobiety w domach zamknięte rzadko je opuszczały, a jeżeli, która wyszła, to z twarzą zakrytą i cała owinięta w białą zasłonę, przemykała cicho i lekko jak duch. — Mężczyźni zaś skupili się w dzielnicy sklepów i kawiarń — tam ruch i gwar przez cały dzień panował. Smagli Arabowie i ciemno-bronzowi Berberzy*), rysami do Arabów, a cerą do murzynów podobni, kręcili się tam handlując, sprzedając i zaczepiając ludzi, lub też siedzieli nieruchomo w otwartych kawiarniach, przy swych wielkich fajkach, puszczając dym przez szklane naczynia z wodą i popijając kawę wraz z fusami.

Sidi-bu-Said leży na wysokiem wzgórzu, stanowiącem cypel w morze wysunięty. Pierwszym z rana obowiązkiem naszego osiołka było przywieźć wody na górę, ze źródła, które z jej zbocza wytryskało. W tym celu Said, syn właściciela, nakładał mu na grzbiet dwa kosze, razem z sobą splecione, tak, iż zwieszając się po bokach osła, samym swoim ciężarem utrzymywały się na jego grzbiecie, oczywiście, gdy były jednakowo naładowane. W każdym z tych koszów było po dwa gliniane naczynia na wodę. Założywszy kosze, chłopiec wskakiwał na grzbiet zwierzęcia i bijąc go bez przerwy piętami w brzuch, zjeżdżał na nim

*) Mieszkańcy północnej Afryki.

do studni. Tam napełniał wodą naczynia i trzeba było dźwigać je pod górę, a były one wtedy bardzo ciężkie.— Ale Said nie zważał na to i idąc z tyłu co chwila poganiał i bił biedne zwierzę. Chłopca tego osiołek od początku bardzo nie lubił. Ciemny, z gęstą fryzującą się czupryną, i wązkiemi oczami, patrzącemi z podełba, miał on w postaci i w całem zachowaniu się coś dzikiego, a już niedola zwierząt nie wzruszała go wcale, a nawet z pewnem okrucieństwem i zupełnie bez racji męczył czarnego kota, starego domownika, łapał w sidła i więził w klatkach małe śliczne szczygiełki, a i naszemu biednemu osiołkowi, przywykłemu do dobrego traktowania, nieraz dał się we znaki. — Osiołek mu to zapamiętał i postanowił przy sposobności zapłacić rachunki. —

A osiołki są pamiętliwe i zawzięte! —

Zato w wielkiej przyjaźni żył nasz kłapouch z przyrodnim bratem Saida, któremu było na imię Daut. — Chłopak ten o czarnych aksamitnych oczach i smagłej, ściągłej twarzy, śliczny był, żywy i wesoły jak iskra. — Zawsze o osiołku pamiętał, czyścił go, pieścił i dzielił się z nim cząstką swego jedzenia. — Wprawdzie czasem wskoczywszy na grzbiet zwierzęcia dziwne wyrabiał na nim sztuki, zmuszał go do kłusa i galopa, jeździł siedząc i stojąc, wymachiwał przytem kijem i krzyczał przeraźliwie, co miało fantazję arabską naśladować, osiołek jednak chętnie to znosił byle chłopcu zrobić przyjemność, choć czasem bardzo był zmęczony, gdyż roboty miał dużo i cięższą niż w Palermo. Lżej jest ciągnąć carrozz'ę naładowaną warzywami, niż dźwigać na grzbiecie ciężkie dzbany wody, kosze pełne towarów, lub ludzi. A wszyscy członkowie rodziny, gdziekolwiek się udawali, czy do miasta, czy za interesami, czy w odwiedziny, czy do swoich pól i plantacji zawsze jechali na osiołku. Tam właściciel, wysoki i piękny arab, w turbanie, szerokiej bronzowej sukni bez rękawów i białym burnusie, który przerzucał przez ramię, siadał na osiołka, nie zważając wcale, że małe zwierzę ugina się pod jego ciężarem i że gdyby spuścił nogi oparł by się niemi na ziemi. Nie spuszczał ich też wcale, tylko siedząc bokiem tamtejszym zwyczajem, poganiał go bez przerwy piętami. —

(d. c. n.).